WYDANIE A

POLSKA NA MORZU

PISMO LIGI MORSKIEJ i KOLONIALNEJ

Nr 4 | WARSZAWA, KWIECIEŃ 1938 ROKU | ROK V



Nie prosić lecz żądać

Właściwie to z haseł, głoszonych przez Ligę Morską i Kolonialną najbardziej w chwili obecnej popularne staje się zagadnienie kolonialne i emigracyjne, a więc sprawa emigracji czyli osadnictwa oraz surowców zamorskich. Emigracja, to znany wyraz, określa on już długą historię, sięga jeszcze do tych czasów, kiedy to różni zagraniczni agenci żerowali na nędzy polskiego ludu.

Bo nikt przecież z rozkoszy skiby rodzinnej nie zostawiał, nie szedł za morza, w nieznane, choć tam mu złote góry obiecywano.

Nie spisać i nie wypowiedzieć tego wszystkiego, co składało się niejednokrotnie na ciężką dolę polskiego emigranta. Często wytrwał, nierzadko załamywał się w morzu obcości. Bo wiadomo: wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

Ale wiele się od tych czasów zmieniło. Dziś polski emigrant opuszcza swój kraj rodzinny już na polskim statku, ma przynajmniej na czas swej podróży ten kawałek, pływającej ojczyzny, a i później w tej swej ciężkiej doli, w poszukiwaniu chleba — ma polskie placówki konsularne, wie, że za nim stoi państwo, które stanie zawsze w jego obronie, gdy krzywda mu się dziać pocznie.

Toteż obecnie emigracja nie jest już tym strasznym koszmarem, który dawniej w okresie niewoli ciężył nad dolą polskiego emigranta.

Ale wróćmy do sprawy kolonialnej, która teraz coraz bardziej staje się przedmiotem żywego zainteresowania nietylko członków Ligi Morskiej i Kolonialnej, lecz całego społeczeństwa. Bo to przecież już od wsi do wsi, od miasta do miasta idzie gadka, że Polska żąda kolonij, że to Liga Morska i Kolonialna w tej akcji żywo uczestniczy, ba — nawet ją pierwsza rozpoczęła.

— Ziemi mamy za mało, tłumaczy ten i ów — obejmując stroskanym wzrokiem swe zagony, których nie wystarczy, żeby obdzielić wszystkie dzieci — to żądamy właśnie, żeby nam taką ziemię za morzami dali.

Snują się tu i ówdzie różne poglądy, a najwięcej się o nich mówi tam, gdzie istnieje nadmiar ludności, gdzie mnożą się ręce do pracy, której w pobliżu znaleźć nie mogą.

A w Polsce ten nadmiar ludności wzrasta, bowiem przyrost naturalny mamy największy w świecie.

W istocie, to fakt, że mamy taki duży przyrost naturalny, świadczy przecież o naszej wiecznej prężności żywotnej, dowodzi, że jesteśmy narodem przyszłości. Jest to zjawisko jednocześnie niebezpieczne, gdyż może stać się nie czynnikiem rozwoju, lecz zaciążyć nad tym rozwojem. Dlatego też trzeba zastosować wszelkie środki, aby ten rozwój liczebny, ów przyrost naturalny — był stałym wkładem na rzecz naszej rosnącej wielkości, by nie stał się przysłowiową kulą u nogi.

Toteż cały ów problem kolonialny, będący obecnie jedną z zasadniczych trosk Rządu, został w ten sposób pomyślany, że całkowicie odpowiada tego rodzaju założeniom, słowem został skonstruowany pod kątem widzenia tych wszystkich spraw.

Mówimy: został skonstruowany, zbudowany, bo każde zagadnienie społeczne czy polityczne — to jakby olbrzymi budynek — o jakimś kształcie, wielkości, gdzie każda z jego części — to inna myśl, inne pragnienie.

I jeśli sięgniemy do samego źródła, do istoty tego wszystkiego, co nazywamy obecnie zagadnieniem kolonialnym, snadnie pojmiemy, że znajduje się tutaj wszystko to, co wyrasta z najbardziej narzucających się potrzeb życia.

Ale spojrzyjmy zbliska — uprzytomnijmy sobie, jak naprawdę ta sprawa kolonii wygląda.

A więc mamy przeludnienie. O tym już wspominaliśmy. Rolnik rozumie, że małego skrawka pola nie będzie można dzielić, bo gdyby nawet podzielił, to i tak niewiele z tego będzie korzyści. Ziemia wszystkich nie nakarmi.

Trzeba przeto, żeby część dzieci poszła do miasta, ale tam znów z kolei trudno o pracę, bo przecież tylu już bezrobotnych w mieście.

— Chyba, żeby fabryk było więcej — myśli sobie niejeden — to łatwiej byłoby w tym mieście o coś ręce zaczepić. A tak to nijakiego wyjścia nie ma. —

Otóż to, gdyby tych fabryk było więcej, ale przecież fabryka, aby mogła być czynna musi z jednej strony posiadać surowiec, który będzie przetwarzać na produkt, zaś z drugiej strony musi te produkty gdzieś zbywać — czyli jak to się w handlu mówi, musi mieć rynek zbytu.

I właśnie tutaj ten krąg zacieśnia się coraz bardziej, bo rzeczywistość nie jest w stanie tej sprawy rozwiązać należycie.

Nie można tej sprawy rozwiązać, bo jakże mogą powstawać nowe fabryki, gdy my olbrzymie sumy rocznie musimy płacić za surowce. Chcąc je zdobyć musimy po śmiesznie niskich cenach sprzedawać własne surowce bądź też produkty, wzamian za co otrzymujemy t. zw. dewizy, które pozwalają nam na zakup surowca.

Oczywiście państwo, posiadające wolny dostęp do źródeł surowcowych zdobywa te surowce bez wielkiego trudu. Poprostu wydobywa je w swoich posiadłościach i stamtąd prze-

wozi do fabryk. Sprawa załatwiana bez większego trudu. Fabryka z kolei, mając tani surowiec wytwarza swe produkty, które odpowiednio tanio potem kalkuluje, łatwiej może na rynkach konkurować z tym samym produktem, wytworzonym z tego samego surowca, lecz zdobytego w sposób bardzo kosztowny.

Stąd też jasno narzuca się świadomość, że w tej akcji kolonialnej obok surowca, ważny jest również ów rynek zbytu produktów.

Państwa kolonialne, posiadające swe własne tereny zamorskie — mają w pierwszym rzędzie zbyt produktów w koloniach.

Tereny kolonialne nie zawsze stanowią poważną pozycję w przywozie produktów, toteż każde z państw stara się o zdobycie dla siebie jak największej ilości rynków zbytu.

Ta akcja gospodarcza państw w opanowywaniu potrzebnych rynków zbytu—jest w chwili obecnej sprawą bardzo ważną. Jeśli chodzi o nas to akcja ta stanowi jakby fundament, na którym oprzeć musimy sprawę kolonialną. Ale cóż? Musimy ze skruchą się przyznać, że niestety nie wykorzystaliśmy jak należy wszystkich w tym względzie możliwości. Jest wiele rynków zamorskich, gdzie towar polski ma duże możliwości eksportu. Możliwości te nie są wykorzystane, bo towarów naszych na tych rynkach nie widać.

Polskie sfery gospodarcze coraz intensywniej dążą do tego, aby jak najsilniej wykorzystywać wszystkie te możliwości eksportowe. Stanowi to przecież krok naprzód w naszej akcji zamorskiej.

Zagadnienie kolonialne, postawione przez Rząd Polski wobec świata, polega przede wszystkim na żądaniu surowców. Surowce kolonialne są potrzebne dla naszego przemysłu Nie możemy i nie chcemy za surowce płacić pośrednikom. Chcemy je mieć z „pierwszej ręki" t. j. bezpośrednio z terenu kolonialnego. I to pozwoli nam na należny rozwój przemysłu, który wchłonie powstający nadmiar ludności.

Obok zagadnienia surowcowego — najistotniejszego — istnieje jeszcze sprawa emigracyjna, osadnicza. I w tym wypadku wielu ludzi sądzi, że akcja kolonialna i akcja emigracyjna — to jedno. Niejeden sobie wyobraża, że Polska stawiając wobec świata żądanie kolonii, żąda terenów, do których mogłaby wysyłać nadmiar ludności. Tak nie jest. Bo o ile akcja surowcowa jest zbyt prosta w swym założeniu i nie potrzebuje nazbyt wyczerpującego uzasadnienia, to sprawa emigracyjna jest bardziej skomplikowana i rozumiana częstokroć niewłaściwie.

Emigracja bowiem o ile z jednej strony rozwiązuje sprawę nadmiaru ludności, to z drugiej pozbawia naród wielu sił żywotnych, oraz kapitału. Bo przecież każdy wyjeżdżający zabiera z sobą pewną sumę pieniędzy. A czasy gdy emigranci nadsyłali swoim rodzinom część zaoszczędzonych pieniędzy należą bodaj że do bezpowrotnych. Dlatego też rząd polski czyni starania walcząc o odpowiednie tereny osadnicze, ale i o finansowanie emigracji za pomocą obcych kapitałów.

Rozumie się, że dążymy do tego, by emigrował przede wszystkim element obcy polskości. Stąd poszukiwania przede wszystkim terenów osadniczych dla emigracji żydowskiej. Upływ elementu obcego z Polski rozwiąże częściowo sprawę przeludnienia, przesunie ludność z przeludnionych wsi do miast, z roli do handlu.

Jest to najbardziej prawdziwy obraz naszego żądania kolonialnego. A więc nie — nieokreślone tereny kolonialne, nie to co nazywają niektórzy mrzonkami, lecz surowce dla przemysłu, emigracja dla elementu obcego — to zasadnicze ramy, w których zamyka się nasz problem kolonialny. I słusznie, że sprawa jest w ten sposób postawiona. Nam przecież nie wolno osłabiać się wewnętrznie. Każdy rolnik, który opuszcza kraj, by trzebić puszcze brazylijskie i tam zakładać siedlisko — to przecież człowiek naprawdę dzielny, silny, wytrwały. Dlaczego mu nie udostępnić rozwinięcia tych zalet w kraju, dlaczego się go pozbywać.

Kraj właśnie tych dzielnych ludzi potrzebuje, dla gruntowania swej mocy i potęgi, dla obrony wreszcie. Jest przecież w Polsce dużo do zrobienia, dużo do odbudowania.

W tym sensie, w trosce o gromadzenie raczej niż rozpraszanie sił narodowych podjęta została akcja na terenie międzynarodowym przez Rząd Rzeczypospolitej.

A tymczasem już co niecierpliwsi pytają: kiedyż wreszcie dostaniemy te kolonie?

Odpowiedź na to przyniesie czas. Lecz aby odpowiedź ta była dla nas jak najbardziej pozytywna, musi być jednocześnie owocem własnego wysiłku, wynikiem woli.

Liga Morska i Kolonialna poraz drugi organizuje Dni Kolonialne. Odbędą się one w okresie 7 — 13 kwietnia.

Uroczystości te mają zespolić wszystkich przede wszystkim członków organizacji w mocnym pragnieniu, wyrażającym się coraz bardziej popularnym hasłem: żądamy kolonii. Uroczystości te mają stać się wreszcie manifestacją wobec świata słuszności naszych praw do życia.

Prawo do życia — to chyba najistotniejszy argument, w imię którego nasze żądania wobec świata stawiamy. Wobec świata, dla którego jako państwo stanowimy i stanowić musimy czynnik równowagi i pokoju na wschodzie Europy. Nasza siła — jest jednocześnie mocnym spoidłem tego pokoju, zaś słabość jego zgubą.

I dlatego śmiało możemy nie — prosić, lecz żądać!

Jadą ludzie do Ameryki

Z jakieś pięć lat temu, gdy młody Kuszelak wybierał się ze swoją kobietą do Argentyny, to zaklinał się, a obiecywał, że za rok, dwa — przyśle ojcom szyfkartę i zabierze ich do siebie, na lepsze. „Oj, głupi, głupi!" — mówili sąsiedzi o starych Kuszelakach, że to się tak prawie zupełnie wyprzedali ze swego gruntu, aby tylko syn i synowa mieli co wziąć na tę amerykańską wyprawę.

Gadali ludziska, gadali, aż ucichli, a młodzi — jak pojechali tak przepadli: kamień w wodę. Wszyscy we wsi byli już przekonani, że starzy Kuszelakowie pomrą, nie doczekawszy się owej szyfkarty. Oni zaś wciąż wypatrywali listonosza i za każdym jego pojawieniem się doznawali nowego zawodu, i żywili się nową nadzieją, że przecież syn napisze, nie dziś to jutro, nie jutro to za miesiąc...

Nie znał to Kuszelak swojego chłopaka, Janka? Uparte to było od maleńkości. Jak się na co uwziął, musiał dojść do swego, tylko byle mu nie przeszkadzać, nie odzywać się do niego, gdy tak w swojej jasnej główinie coś przemyśliwał.

Tak będzie i z tą Ameryką. Widać bieda musiała się dać zrazu Jankowi we znaki, ale Janek doprze do swego; Kuszelakowie wierzyli w to i czekali.

Wreszcie doczekali się. Dostali tę swoją szyfkartę, pieniądze i list, za którym ckniło się im najbardziej. Wieść po wsi poszła prędko, jak ogień w wietrzną pogodę. Nazajutrz rankiem, a niedziela to była, Kuszelak, wstąpił po sumie do karczmy Aptowicza. Pełno już było chłopa. Karczmarz rad takiej gromadzie, ręce zacierał, wyciągał piwo i siwuchę. Z kuchni, poprzez uchylone drzwi, sączył się do izby zapach smażonej gęsiny i gderanie Aptowiczowej. Kuszelak papierosy kręcił z machorki, pociągał piwa, i, nagabywany przez ciekawych sąsiadów, odpowiadał wolno, z ociąganiem, jakby tymi swoimi skąpymi odpowiedziami chciał się odpłacić ludziom za to ich niedowiarstwo i śmiechy z jego Janka i z Ameryki.

„Ziemię ma, czegoby nie miał mieć..." — odpierał szwagrowej wójtowemu, Michałowi Gołubie. Znów musieli molestować, a ile tego gruntu ma, czy dobry, a czy gadzinę ma także, a chałupę, czy murowaną aby?..

Chociaż się tam Jankowi wiodło niezgorzej, ale i nie najlepiej, jął stary Kuszelak, rozgrzany sąsiedzkim poczęstunkiem, rozwodzić się szeroko nad synową dolą, a że dodał przy tym niejedno, nie jego to wina, ale mocnej siwuchy.



Rozpowiadał, aż Gołubie z przejęcia twarz poczerwieniała; chłopy wytrzeszczali w zasłuchaniu oczy, a karczmarz cmokał i pokrzykiwał zcicha, zamyślonym dolewał piwa i na ściennej belce smarował kredą niezdarne kulfony, znacząc ilość wypitych butelek, kufli i kieliszków. Ten i ów przebąkiwał, że może toby i racja była wynieść się z kraju, poszukać innej biedy; jeden z drugim obliczali w myśli, ileby też dostali za swoją chudobę, czy starczyłoby to na zamorską podróż, na działkę i jaki taki początek.

Gołuba pierwszy rzekł do Kuszelaka: „Widzi mi się, że jeszcze będziemy sąsiadami..." No i wtedy wyszło na jaw, że i Gołubie Ameryka nie od dziś w głowie siedzi, że Gołuba, co ma — sprzeda, kobietę swoją i chłopaka zabierze — może im tam lepiej będzie. Któryś rzucił na pół żartem, na pół poważnie, by się Kuszelak z Gołubą wstrzymali, bo może we wsi takich wię-

cej się znajdzie, a w kupie raźniej byłoby im jechać i gospodarzyć na nowym.

Trącali się szkłem, kufle i kieliszki coraz częściej podnosili do ust. Niby za to nowe życie. Wreszcie doszli do przekonania, że jakby się tak gromadą wybrali, toby im było brak tylko Aptowicza i zaczęli namawiać szynkarza, niby to przekpiwać, czyby też z nimi nie pojechał.

Aptowicz jak to Aptowicz. Prawie płakał, że mu tacy dobrzy klienci chcą odjeżdżać, kiwał głową, drapał się w brodę i żalił, że musi zostać, bo tam kupców nie chcą, tylko rolników. A na to Gołuba, pierwszy do wiecowania: „A jakbyście tak Aptowicz, zamiast handryczyć samogonką, pojechali argentyńską ziemię orać?". Żachnął się karczmarz: czy kto widział od początku świata, żeby Żydzi się czym innym, jak nie handlem zajmowali? Oni by może i chcieli chodzić za pługiem, ale nie nadają się do tego. Gołuba nie dał się przekonać, wypominał Aptowiczowi krawca Morgulisa, rodzinę Rosenbergów, którzy do Palestyny pojechali i wzięli się do uprawiania winogron, drzew pomarańczowych i dobrze im się wiedzie. Karczmarz tedy zaczął z innej beczki: że w Palestynie teraz rewolucja, że biją się i że Arabowie napadają na żydów. Machnął wreszcie Gołuba ręką: „Jak wam mucha bzyknie koło nosa, to wy zaraz „wojna" krzyczycie, a jak osa w palec użądli, to — „mordują"..."

Wnet jednak sąsiedzi zagadali rozeźlonego Gołubę: nie obchodziła ich ani Palestyna, ani Aptowicz. Jęli się dopytywać Kuszelaka o Jankową dolę, o to komu stary ziemię sprzeda. Okazało się, że grunt już prawie kupił... Aptowicz.

Od tej niedzieli nie było spokoju we wsi. Zrazu kotłowało się, gdy Kuszelakowie wyjeżdżali. Potem Gołuba swarzył się ze swoją żoną pewnie cały miesiąc. Ona, jak to kobieta bojąca, nie chciała jechać na, Bóg wie jaką, poniewierkę. Gdy jednak sąsiadka zza płota zwierzyła się jej w największym sekrecie, że niedługo nie będzie już pożyczać od niej soli i octu, bo to z amerykańskiego podwórka zadaleko by było biegać na sąsiedzkie plotki, — Gołubowa chwyciła się myśli o Ameryce, jak iskra smolnego drzewa.

No i zaraza padła na wieś. Jęli się ludziska wyprzedawać z ojcowizny, wkońcu okazało się, że niemała garść zasobniejszych, a wytrzymałych na zdrowiu, a krzepkich w robocie — jedzie do zamorskich krajów. Zostawali ci, którzy nie wierzyli w raj amerykański, albo lękali się niepewnej doli, wreszcie biedujący, którzyby nawet jechać za co nie mieli, zostawali się starzy, nad grobem, chorzy, nieporadni, — no i żydzi - handlarze, których z pół wsi pewnie było. „Amerykańcy" śmiali się z nich trochę poprzez własną niepewność i smutek, trochę



poprzez dumę, że to niby śmietana odjeżdża, a serwatka zostaje.

Gdy, Gołubowie i ich sąsiedzi, jadąc pociągiem, mijali samotną chatę pod lasem, w której powiesił się zaprzaniec Melyń. — Gołuba zamyślił się i rzucił od niechcenia: „Wiecie, chłopy, jakby tak przyszła wojna — to w naszej wsi same Aptowicze i parę bab bojących..." I po chwili dodał: „A nasze dzieci będą w Argentyńskim wojsku służyć, tfu!..."

Zagadali go, że do wszystkiego pierwszy: i do Ameryki i do biadolenia. Przyznał im rację w cichości. Cóż miał teraz mówić — gdy daleko poza nimi zostały ziemie nienajlepsze — ale swojskie, gdy przed oczami malowały się tamte, zamorskie lasy, nie brzóz w białych sukmanach, ale jakichś dziwacznych piniorów, drzew, podobnych do dużych, rozczapierzonych parasoli, wywróconych na wietrze. I tak z każdym stukotem kół zbliżali się do krańca Polski, aż przyszła chwila, w której swarliwa Gołubowa nie powstydziła się uklęknąć i ucałować proch na gdyńskim nabrzeżu. To pożegnalne pocałowanie i ta garść ziemi, którą jego kobieta za-

brała z rodzinnej wioski i ukryła w woreczku na dnie kufra — zabolały Gołubę. Pomarkotniał jeszcze bardziej.

Potem na tym morzu ludziska nie mogli się nadziwić statkowi i wodzie, która przez tyle dni otaczała ich zewsząd dokoła: wszystko było jakieś inne, nowe, straszne i cudaczne. Tylko jedno, co spotkali, było takie jak i oni: Józek Zielonka, swojak z tej samej wsi, który przed laty w świat poszedł z ojcowskiej chaty, a teraz jako marynarz pracował na statku, wiozącym emigrantów do Ameryki. Pamiętał go dobrze i on ich sobie pokolei przypominał. Teraz dziwaczył — i do Gołuby, do którego od razu przylgnął, zaczął mawiać: „Tyle narodu, com już widział, wali i wali za to morze..." Niech mu Gołuba nie przerywa, on i tak wie, że chłop polski roboty się nie ulęknie, że pazurami będzie orał, jak przyjdzie potrzeba, a wyorze sobie lepszą dolę. Zielonka wie, Gołuba mu nie potrzebuje o tym mówić, że jadą tacy, co na wszystko gotowi, że bojący i niedojdy w domu zostali. O to właśnie Zielonce chodzi, że — coraz to z Polski uchodzi nie gromada bojących, ale takich, co na wszystko gotowi, co wszystkiego się chwycą, jak ten Janek Kuszelak, — zna go przecież Gołuba. Zielonka rozumie również, że ta cała emigracja jest niestety koniecznością, wynikającą z nadmiaru ludności, że muszą często takie dzielne chłopy jechać za morza. Chłop zdatny jest nie tylko do ziemi, lecz do wszystkiego. Toteż lepiejby było, gdyby ze wsi przeszedł do handlu, przemysłu.

Ale kiedy wszystko tak od razu idealnie być nie może — to już trudno. Niech już będzie i ta emigracja.

Tylko niech wszyscy nie myślą, że to środek jedyny na nadmiar ludności.

Gołuba próbował przetłumaczyć, że w kraju i do handlu trudno i przemysłu nielekko, wszędzie bieda, a na wsi coraz ciaśniej, ziemia podrobiona na skiby prawie, więc kto ma ustąpić? Przecież ktoś musi to pierwszy zrobić. Zielonka machnął ręką: „Et, Gołuba, prawicie, żeście silni, niczego się nie ulękniecie, a wolicie cały ocean przejechać, całe życie od początku zaczynać, obcemu narodowi oddawać swoją siłę, mowy swojej zapominać, dzieci pozbawiać ojcowizny — a w kraju do innej roboty, niż do orki nie umiecie się wziąć? A są przecież tacy, co do handlu, do przemysłu ze wsi poszli...

Zostawił Zielonka Gołubę, poskoczył do pomieszczeń załogi, przyniósł gazetę; ręką twardą od ciężkiej pracy na morzu, wyprostował załamanie, wygładził zmarszczki papierowe i — czytał. Czytał, że buduje się w Polsce wielki okręg przemysłowy, że Sandomierszczyzna dymi już kominami fabryk, że tamtejszym ludziom lepiej się zaczyna dziać. Czytał jeszcze, że do rozwoju i podźwignięcia tego przemysłu, a więc do zatrudnienia całej zubożałej ludności Polski potrzeba wielu surowców, takich jak wełna, rudy żelazne, kauczuk; że Polska upomina się o te surowce u narodów kolonialnych, które mają ich wbród, że Polska musi mieć dostęp do nich, bo tylko zdobycie tego dostępu pomoże na bezrobocie, na nędzę na wsi, że Polska do emigracji ucieka się jako do ostatecznego środka przeciw nadmiernemu przeludnieniu.

Zamyślił się Gołuba. Przypomniał sobie karczmę Aptowicza, samotną chatę Mełyńca, kramy w sąsiednim miasteczku, śród których tylko kilka było polskich. Wszystko to zostało w dalekiej Polsce. Kuszelakowie są już w Ameryce, Gołubowie jadą do Ameryki...

Tuż obok przelewał się pienistymi szumami wielki, potężny Atlantyk. Skądś tam dochodziła piosenka: „Hej, Górol ci jo, Górol, hej spod samiuśkich Tater, hej wietrzyk me wykąpoł, hej, wykołysoł wiater..."

W. J.

Do dnia 16 marca 1938 roku zebrano na

F.O.M.

w gotówce i papierach wart. zł 6.477.786,39

Świat robotniczy a surowce

Bezrobocie jest klęską nie tylko dla poszczególnych rodzin robotniczych, przed którymi stawia widmo nędzy i głodu, ale jest również katastrofą dla całego państwa, któremu grozi zahamowaniem normalnego rozwoju gospodarczego i społecznego. Dlatego też wysiłki poszczególnych rządów muszą zmierzać do stworzenia takich warunków w kraju, aby można było zatrudnić przez nie możliwie jak największą ilość rąk roboczych, nie tylko zahamować bezrobocie, ale je zlikwidować.

W Polsce sprawa ta stawała się coraz bardziej paląca wobec wzrastającego z każdym rokiem przeludnienia kraju, które nie znajdowało upustu w emigracji, ograniczonej różnymi zakazami ze strony krajów imigracyjnych. Konieczne też stało się ożywienie tętna życia gospodarczego kraju, zarówno dla lepszego wyzyskania na ziemi pracy rolnika, jak i dla zatrudnienia w przemyśle tysięcy bezrobotnych z miasta i nadmiaru ludności wiejskiej.

Wysunięty przez rząd program uprzemysłowienia kraju, do urzeczywistnienia którego przystąpiono z wielkim rozmachem, został przyjęty z radością przez całe społeczeństwo.

Aby jednak tak pięknie rozpoczęte dzieło nie zostało zahamowane musimy zapewnić sobie potrzebne dla rozwoju przemysłu surowce. Mamy wprawdzie w kraju kilka podstawowych surowców, jak węgiel, drzewo, niektóre rudy, naftę, ale produkcja przemysłowa jest bardzo zróżniczkowana i dla wyrobu różnych maszyn, aparatów, czy artykułów, potrzebne są najrozmaitsze surowce, z których wielu nie posiadamy zupełnie, albo też posiadamy w zbyt małych ilościach. Surowce te musimy sprowadzać z zagranicy, której w r. 1936 zapłaciliśmy za nie 498 milionów złotych. Przytoczę tylko dla przykładu bawełnę i wełnę, stanowiące podstawę tak dobrze postawionego u nas przędzalnictwa. Za bawełnę, sprowadzoną z dalekich krajów zamorskich, zapłaciliśmy w roku ubiegłym ponad 140 milionów złotych, za wełnę — ponad 88 i pół miliona. Poważne również sumy płacimy za inne surowce, jak skóry, kauczuk, miedź, cyna, żelazo, różne rudy.

Sprawa ta nie przedstawiałaby większych trudności, gdybyśmy mogli tyleż samo otrzymać za nasze kopaliny i artykuły rolnicze i przemysłowe, które wywozimy za granicę, a w każdym razie gdybyśmy mogli swobodnie sprzedawać i kupować tam, gdzie nam najwygodniej. Tymczasem większość naszego wywozu idzie do krajów europejskich, gdzie najczęściej ze względu na istniejące umowy handlowe musimy kupować tyle samo, co i sprzedajemy, wobec czego tutaj nie możemy uzyskać nadwyżki pieniędzy, potrzebnej na zakup surowców, sprowadzanych w znacznej części bo w 35,5 proc. z krajów zamorskich, które u nas w tej chwili jeszcze bardzo mało kupują i którym wobec tego musimy płacić żywym pieniądzem.

Cóż więc mamy robić? Innych źródeł dla zdobycia obcych walut nie mamy, a oszczędności w innych pozycjach przywozu też są już niemożliwe. Czyżbyśmy więc musieli ograniczyć przywóz surowców? To jednak byłoby katastrofą, bo zahamowałoby w samym zarodku rozwój naszego przemysłu, a tym samym spowodowałoby nowy wzrost bezrobocia. Toć właśnie główną przyczyną nierozwinięcia się u nas szeregu produkcji jest brak odpowiednich surowców, wskutek czego musimy sprowadzać z zagranicy gotowe towary, a dla kraju zawsze jest korzystniej sprowadzać surowce, gdyż w gotowych towarach musimy płacić i za pracę ludzką, której w Polsce mamy poddostatkiem i którą właśnie w jak największym stopniu musimy wyzyskać.

W takim stanie rzeczy najskuteczniejszym oczywiście lekarstwem byłoby uzyskanie bezpośredniego dostępu do źródła surowców, to znaczy do terenów kolonialnych. Wówczas moglibyśmy płacić za nie własnym pieniądzem lub towarami.

Oczywiście nie mamy się co łudzić, aby obecnie którekolwiek z państw kolonialnych odstąpiło nam na własność bodaj najmniejszą cząstkę swych kolonij. Tym niemniej istnieje cały szereg możliwości udostępnienia nam surowców na dogodniejszych, niż dotychczas, warunkach. Sprawa ta była również przedmiotem rozważań specjalnej Komisji Surowcowej, powołanej przez Ligę Narodów, w której brali czynny udział i przedstawiciele Polski, podkreślając, że zagadnienie surowcowe jest dla Polski sprawą, szczególnie palącą, właśnie ze względu na jej wyjątkowe w stosunku do innych państw przeludnienie. Komisja ta wysunęła szereg wniosków, zmierzających przede wszystkim do ożywienia obrotów międzynarodowych i to nie tylko wymiany towarów, ale i wymiany ludzi i kapitałów.

Sam raport komisji nie rozwiąże jeszcze sprawy surowcowej, trzeba ponadto dużo dobrej woli ze strony państw uprzywilejowanych, dużo zrozumienia ogólnych interesów ludzkości. Tym niemniej sprawa została postawiona na porządku dziennym, a w trosce o najżywotniejsze interesy państwa i szerokich rzesz pracowniczych należy dążyć, aby załatwienie tej sprawy nie było zbyt długo odwlekane. **J. L.**

Za ogromnym morzem



Daleko z Polski do Brazylii, czy do Stanów Zjednoczonych, gdzie tylu naszych rodaków wyemigrowało kiedyś za chlebem i w poszukiwaniu pracy.

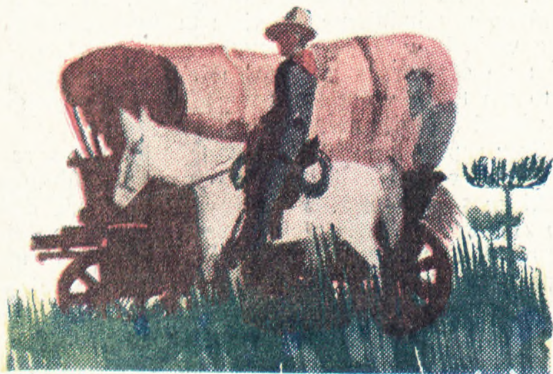
Przez wiele dziesiątków lat, całe pokolenia rodzin polskich, osiadłych na obczyźnie, z ogromnym wysiłkiem dorobiły się gospodarskich majątków, domostw, zagród i warsztatów wszelakiego rękodzieła.

Jest nas, pomyślmy, za granicami naszego kraju potężna wielka rodzina — przeszło osiem milionów! Gdyby wszyscy ci Polacy na obczyźnie podali sobie dłonie, mogliby opasać rękami całą kulę ziemską.

Pojechali oni kiedyś gromadą, chłopi i baby pospołu, — na emigrację. Pojechali za „szyfkartą" przez dalekie morza. Twarda puszcza o kamiennych pniach ich powitała na tamtym brzegu — w Brazylii. Tam powiedziano krótko, a węzłowato: — „Bierz każdy jeden w łapę siekierę! Rąb, obalaj drzewa, wyrywaj korzenie, — a co wyrąbiesz i wykarczujesz, to ziemia twoja!..."

Łatwo to było powiedzieć, trudniej wykonać. Skwar utrapiony, istna ognista ulewa słońca spadała na uznojone, zapocone karki. A jak nie słońce, to znów co chwila walił po karku deszcz rzęsisty i jadowity, bo snujący przeciągłe mgły w okole i — febryczna niezdrowość.

Dziś taki Wojciech Mierzwa, czy inny Franciszek Gwizdek, jak tylu, tylu dzielnych Polaków-osadników, ma już siwe włosy, starość im grzbiety pochyliła, ale dzieci ich, które na tej brazylijskiej ziemi na świat przyszły, — z małego poletka, wyrąbanego w puszczy, poszerzyły teraz z czasem polską zagrodę, zakładając na tamtejszy sposób uprawne plantacje. Z Polek-emigrantek, wyrosły zacne matki-gospodynie.



Przypatrzmy się ich życiu. Spójrzmy jak te „brazylijskie cuda" wyglądają z bliska. Oj, bardzo nieszczególnie.

Świta dzień, jakże inny od naszego w kraju! Oto, Wojciechowa przeciera oczy, spogląda w okno i mówi do córki Anki:

— Czas na safrę!

Safra? A ki diabeł? Dziwne słowo. Nikt go u nas nie zna. Ano safra, to znaczy — żniwa. Ale i żniwa w Brazylii są inne. Wprawdzie na wykarczowanych polanach udaje się tam pszenica, ale o wiele ważniejszą uprawą jest — herwa mate. To nazwa sławnej brazylijskiej herbaty.

Anka woła znów na Stacha, starszego brata:

— Masz fakon?

Fakon? A cóż to znowu takiego? Ano fakon, to nazwa długiego, ostrego noża, który na ziemi tamtejszej spełnia prawie tak poważne i szacunku godne zadanie, jak u nas pług rolny. Ileż to ścieżek i gościńców musi wciąż wyrąbywać ów fakoński nóż w splątanej dżungli poprzez kolące krzaki cierniowe i parzące trawska. Niemniej służy też ten fakon ludziom do cięcia owej herwa-maty.

A więc dzień wstaje i ludzie wstają do zwykłej pracy. Wilgotne, fioletowe opary wiszą nad mokrą od rosy, a już zgorączkowaną od słońca puszczą. Niema tam świerków, albo naszych buków. Próżnobyś szukał brzóz białych i mile szumiącej leszczyny. Potężne palmy o chudych, długich pniach, nakryte szeroką kępą rozłożystych liści, panują nad gęstwiną pokracznych krzewów i drzew cudacznych, zwanych — trudno ich nazwy przełknąć:—magnolie, pitangi, piniory itd.

Obok fermy, obok gospodarskiej zagrody, widnieją rozrzucone poletka. Zamiast buraków, czy rzepy, widzisz krzaki kawy, półka kukurydzy, dalej błotniste badyliska owocujące ryż w ziarnach, dalej sady niezwykłe — pomarańczowe.

Ale dziś cała rodzina — jak się nam rzekło dla przykładu—śpieszy na safrę herwa-maty—z fakonami. Stańmy z boku niewidzialni i przypatrzmy się jak takie żniwa wyglądają. Opisał je Bohdan Pawłowicz w ciekawej swojej powieści p. t. „Pionierzy" której tematem jest właśnie życie naszych Polaków spod wiejskiej strzechy, na twardej, ciężkiej, chociaż kolorowej ziemi brazylijskiej.

„Pod wysokim dachem piniorów, pomiędzy strzelistymi kolumnami pni — olbrzymów, rosną drzewka o biało zielonkawej korze i ciemno zielonych, błyszczących na wierzchu, a spodem matowych liściach. Wojciech i synowie z fakonami w rękach, cięli liście razem z drobniejszymi gałązkami, a one padały w dół obfitym kobiercem. Wojciechowa z dziewczętami wiązały gałązki łykiem takuary (nazwa rośliny) w pęki i układały w kopce... Następnego dnia, skoro świt, zabrali się Mierzwowie do młócenia kijami wysuszonej herwy, a kobiety przesiewały ją je-

szcze, oddzielając co grubsze patyki i badyle ładując mate do worków...“

Tak to mija dzień przy owej herwa mate, służącej po żniwach i na sprzedaż i za napój domowy, tak zwany — szimaron.

Chciałoby się przy tym w myślach zwiedzieć, zadumać się i polecieć w górę — za śpiewem skowronków, które tak głośno zwykle nucą nad głowami naszych żniwiarzy w kraju; chciałoby się popatrzeć za obłocznymi chmurami, które ciągną nad polami i zawisają u nas w kraju nad jakąś niedaleką wioską tuż przy wieży kościelnej...

Nie masz jednak nic z tego. Zamiast skowronkowych pieśni, drą się tam w gąszczach pstrokate papugi, kraczą ponure tukany, na błotach wydziwiają jakieś sarakury, a przy tym zewszad wtóruje cały koncert przelicznego drobiazgu ptaszęcego i cała chmara buczących bąków, i cała gromada przeróżnych owadów, kłębiacych się nad kolorową roślinnością puszczy.

Tak dzień za dniem mija, przy ciągłych echach pracowitej siekiery i przy nieustającej pomocy fakona. Jakże to przedrzeć się wzrokiem poprzez ten widnokrąg lasu, który dziś przerabany, jutro zarasta na nowo!... Jakże tu daleko od wsi do wsi, chociaż tyle osad powstało w puszczy dzięki wytrwałej pracy polskiego farmera!... Jakże tam komu wreszcie przytulić głowę do nóg Chrystusa, skoro do jakiegoś kościoła zbudowanego też wielkim trudem polskiej pracy, trzeba iść nieraz i z pół dnia, aby przebrnąć przez ciernistą ścianę chaszczów i błędnych, dżunglowych uroczysk!...

Ale oto patrzmy dalej, — zachodzi słońce. Kończy się dzień powszedni. Zapada noc. Czarna jest zwykle ta noc po dniu barwnym i duszna od wyziewów. W chacie zbiera się rodzina polska i pije ów szimaron. Zebrali się też i znajomkowie-rodacy, ano, jak to bywa wszędzie, — z wizytą. Przy ognisku poczyna się rozmowa. Ale też inna ta rozmowa, niż u nas po wsiach.

Dziwna drętwota ogarnia myśli, bo przygnębienie powodują zwykle długie, trwające miesiącami, tak zwane „pory deszczowe“, albo zawiewy upiornych, żałośliwie skowyczących wichrów, które tłumia i duszą w piersiach okrzyki co radośniejsze.

O szyby w oknach chat biją tymczasem skrzydłami wielkie, kosmate ćmy. Zwabiło je światło wieczornego ogniska w kuchni. Wtędy jakiś najstarszy osadnik opowiada dzieciom, a pewno i wnukom, dziwy piękne, dziwy roztęsknione o polskiej ziemi i o polskim śniegu.

— Śnieg? — pytają na to najmłodsi. — A cóż to takiego?

— A to wiecie, — powiada stary Bartłomiej, — wielkimi kawałami puch się sypie z nieba! Zwykle na Boże Narodzenie, a już napewno to po Trzech Królach. A wygląda to tak, jakby aniołowie darli w niebie pierze i sypali je na ziemię. Leci, leci śnieg taki, a srebrzysty jest, mięki i biały. Cuda, powiadam wam! Chwycisz w rękę, to ujrzysz na własnych dłoniach — maluśkie gwiazdki błyszczące. Ano bo — ze szronu...

Małe dzieci w śmiech na to, ale starszym, co Polskę dobrze pamiętają, serce się ściska od wybuchu tęsknoty.

— A pamiętacie, kumie Bartłomieju, jak to raz w zimie chałupę wam zasypała śnieżyca? — odzywa



się z kąta kum Grzela. Nie ma w tych słowach nic grozy, oburzenia na polską zimę, na gołoledź, na mróz. Przeciwnie, — radość i sama tkliwość budzi się we wspomnieniach.

— Albo wiosna! — ciągnie dalej siwy Bartłomiej. — Mój Boże, Boziczku!... Na ziemi ledwie trawa pierwsze kiełki wypuści, już bociek z ciepłych krajów na strzechę przyfrunął, na kole przysiadł, na gnieździe, i dalejże wołać: „kle-kle-kle!“... A potoki na to i stawy: „rade-rade-rade!“ z żabim rzechotaniem...

I nagle, ni stąd ni zowąd, pada gdzieś z kąta czyjeś stłumione westchnienie: — „Ach, żeby tak wrócić się... żeby tak móc wrócić się z powrotem... do Ojczyzny!“

I płyną w ten sposób długie, nigdy nie wyczerpujące się rozmowy, gadki, powieści, westnienia i wspomnienia o dalekiej, pięknej, niczym nie zastąpionej wsi polskiej.

Poszli nasi za chlebem, za pracą, na trud, na nowe życie do obcych krajów. Na ojcowiźnie było im kiedyś ciężko, — wiadomo. Ziemi ugryźć nie mogli. Brakło jadła, w oczy zajrzał głód i poniewierka. Poszli, bo musieli. Ale też pokazali całemu światu co znaczy duma i siła, co znaczy: nasz chłop, polski. Nigdzie takiego robotnika nie znaleźć na roli! Nigdzie takiego zamiłowańca w ziemi, choćby nie wiedzieć jak najgorszej, opornej. To też podziwiają zato wszyscy w świecie naszą narodową krzepę, gdziebądź i gdzie tylko na obczyźnie.



Powie ktoś: — ależ to tylko zachęta do dalszej naszej emigracji! Emigrujmy więc do Stanów Zjednoczonych, a nawet do Brazylii, choć tam tak ciężko! Ale takiemu to trzeba zaraz odpowiedzieć: — nic z tego już dzisiaj!

W Stanach Zjednoczonych panuje przeludnienie. Sami o tym wiemy aż nadto dobrze. Z przesyłką dolarów dawno się skończyło. Bezrobotnych tam całe miliony, — jak wszędzie. Widząc co się dzieje, Stany Zjednoczone raz na zawsze zamknęły przypływ emigracji. Dziś, takiego, którýby stamtąd zechciał wyjechać, jeszczeby każdy bezrobotny w rękę pocałował byle przez to zająć po nim jakieś miejsce dla pracy i zdobyć kawałek chleba.

W Brazylii też niemniejsze ograniczenia dla nowych osadników. Wszędzie to samo. Cały świat jest jakby zatkany i zakorkowany. Trzeba się tedy jąć własnego pomysłu i pójść po rozum do głowy. A nie ma innej rady, — powiada ten rozum: — szukajmy Ameryki w własnej Polsce! Bo czy to koniecznie trzeba emigrować aż zagranicę, za dalekie morza i światy, aby zaczynać dorobek życia od nowa? Czyż tak, jak się musieli i dziś jeszcze muszą przebijać przez puszczę brazylijską nasi dzielni drwale, nie można się z samym życiem w Polsce wziąć za bary, aby dojść do czegoś? ...Jak?.. a przyuczać się do własnego, polskiego handlu, a tworzyć szkoły i warsztaty dla regionalnych produktów, a budować cały przemysł wiejski, który już dziś — chwalić Boga! — zaczyna nareszcie budzić ludzi na roli do nowego, gospodarczego, a postępowego życia.

Cudze chwalimy, swego nie znamy! Stare to i mądre przysłowie. Wiele możliwości w twórczej, pomysłowej pracy znaleźć można dla równoczesnego podniesienia wiedzy, postępu i dorobku wsi naszych. Niechbyśmy tylko wdrożyli w własnym kraju i obok własnej zagrody ów cierpliwy, wprawdzie mozolny, ale już o wiele mniej męczeński sposób przerąbywania się z uporem i wytrwałością przez twardą ścianę dżungli brazylijskiej, co było i jest udziałem życia oraz trudu naszych ojców, sióstr i braci.

Z życia naszej emigracji w Stanach Zjednoczonych wynieśmy w zysku naukę co znaczy śmiałość w pracy, przedsiębiorczość i samorzutność oraz gromadzkie przytym zaufanie w popieraniu własnej wytwórczości. Skoro dobry to był sposób tam zagranicą, na wychodźtwie, kiedy trzeba było zaczynać dosłownie od niczego, — czemuż tego samego wypróbowanego sposobu nie zastosować u nas w kraju, we własnej wsi, na której tyle można i trzeba zrobić jeszcze, aby podźwignąć się na wyżyny prawdziwego dobrobytu.

Na cóż się tułać i cierpieć męki tęsknot na obczyźnie, kiedy pod nosem, na oczach leży przed nami dzieło godne takiego naśladowania, jak choćby ów Lisków. Tak można powiedzieć. I słusznie. Ale niestety emigracja będzie środkiem ostatecznym, w poszukiwaniu chleba jeszcze długo, dla wielu dzielnych Polaków. Musi ona jednak być jaknajbardziej planowa, musi być prowadzona pod kątem jaknajmniejszych strat sił narodu.

Wiadomą jest rzeczą, że Polska obecnie stara się o przyznanie nam w świecie kolonii. Tak, ale przecież stara się o nie dla potrzeb surowcowych, to znaczy dla sprowadzania w głównej mierze surowców dla fabryk, celem ukrócenia bezrobocia w przeludnionych miastach przez zatrudnienie właśnie tu: w kraju, w licznych fabrykach, tysięcy ludzi, daremnie dziś szukających pracy.

Nasze hasło kolonialne to przede wszystkim źródło surowców, to planowa emigracja, ale pojęta, jako ostateczny środek zaradczy.

Raczej kto nam duchem i rasą obcy w Polsce, raczej ci, którzy stanowią ciężar naszej społeczności, którzy zajmują nasze miejsca przy warsztatach pracy jako element napływowy, — raczej o nich pomyślmy przy pierwszej kolonialnej emigracji. Bo dla nas najlepsze kolonie, to uprawa własnej dżungli polskiej pobok wielu, wielu zaścianków wiejskich, leżących jeszcze odłogiem.

J. S.

Linie żeglugowe łączą nas ze światem zamorskim

Posiadanie wybrzeża morskiego — to wielki skarb. Bez względu na to, czy wybrzeże to jest wielkie czy małe — to korzyści osiągnąć możemy jednakowo wielkie. Zależą one przede wszystkim od pracy Narodu, od tego, jak przez społeczeństwo jest wykorzystywane.

Toteż szczęśliwi posiadacze wybrzeża morskiego starają się wyzyskać uprzywilejowane swe stanowisko na mapie — i wyciągnąć z tego największe korzyści gospodarcze.

Aby jednak wyjść na oceany, aby dotrzeć za ich pośrednictwem do odległych krain — trzeba zbudować flotę handlową.

Wszystkie wielkie narody morskie ze szczególną gorliwością budowały i budują flotylle morskie, wszystkie one rozpoczynały swój zwycięski pochód na podbój gospodarczy i polityczny świata od gromadzenia największej możliwie ilości statków handlowych.

Polska nie marnuje wielkiego skarbu, jakim jest dostęp do morza. Powstała już wielka Gdynia — brama wypadowa na wody świata. Port to za mało — powstaje i flota handlowa. Przecież zaledwie 20 lat liczy nasze młode państwo, a już na początku 1934 r. zdołaliśmy stworzyć flotę o ogólnej pojemności 64.000 t. r. b., która

wzrosła na początku 1937 r. do 97.315 t. r. b. i której tonaż wynosił na 1. 1. 1938 r. — 103.913 t. r. b. Gdy do tego doliczymy jednostki zamówione i będące obecnie w budowie — stan ten określa się już wcale poważną cyfrą 143.000 trb.

Chcąc wykorzystać dobrodziejstwa transportu morskiego, jak wiadomo o wiele tańszego od transportu lądowego, t. j. kolejowego, samochodowego i innego — nie wystarczy bezplanowo wysyłać statki do różnych zakątków kuli ziemskiej, nie wystarczy od wypadku do wypadku przywozić stamtąd zakupione towary oraz odwrotnie od czasu do czasu własne produkty tam wysyłać. Aby ustanowić ścisłe stosunki handlowe z jakimś rynkiem zamorskim ożywić wzajemną wymianę, aby zadokumentować swe szczególne zainteresowanie danym rynkiem — trzeba połączyć dane obszary z własnym krajem stałą komunikację morską, trzeba stworzyć t. zw. regularne linie żeglugowe.

Takie linie regularne różnią się od żeglugi nieregularnej czyli „trampowej" tym, że odejście i przyjście statków do ściśle określonych portów — jest wyznaczone dokładnym rozkładem. Z góry wiadomem jest, że np. do Bombaju, Calkuty, Haify, Buenos-Aires, New-Yorku czy Londynu lub Sztokholmu statek odejdzie w oznaczonym dniu, niezależnie od tego czy będzie posiadał pełny ładunek czy też nie. Dlaczego ta regularność jest tak ważna?

Oto kupiec handlujący towarem, wyrabia sobie stosunki np. w Indiach. Tamtejsi odbiorcy zamawiają u niego dany towar. Zrozumiałą jest rzeczą, że pragną oni wiedzieć dokładnie, kiedy towar ten otrzymają, pragną również mieć pewność, że ich dostawca zaprzyjaźniony będzie mógł w z góry oznaczonych terminach dalsze transporty zamówione dostarczać. Kupiec ze swej strony jeśli chce solidnie wywiązywać się ze swych zobowiązań, zawsze dążyć będzie do tego, aby zapewnić sobie usługi połączenia okrętowego regularnego, a nie dorywczego, niepewnego co do terminu. Wreszcie kupiec handlujący np. z tymiż Indianami, mający tam stałych odbiorców, woli mieć na miejscu swe składy z zapasami towarów, cieszących się popytem. Jeśli ma zapewnione regularne połączenie żeglugowe, do swych składów sprowadza jednorazowo mniejsze ilości tych produktów, gdyż nie chce wykładać zbyt wielkiego kapitału naraz i narażać się na niebezpieczeństwo, że towar nie zostanie wyprzedany, lub cena jego tymczasem spadnie.

I dlatego to linie żeglugowe regularne są konieczne dla tych narodów kupieckich, które wykazują dużą przesiębiorczość i które chce utrwalić swe wpływy na pewnych rynkach.

Towarowe linie regularne rozporządzają statkami lepiej zbudowanymi, które mają stosunkowo silniejsze maszyny napędowe. Ich regularność kursowania i większa szybkość niż statków w żegludze nieregularnej (trampowej), przeznaczonych głównie do przewozu ładunków masowych, jak węgla, cementu, itp., — stwarza warunki dla przewozu i pasażerów. To też linie regularne przewożą normalnie nietylko towary, ale i pasażerów, pragnących utrzymać stały kontakt z interesującymi ich krajami, i sprawiają, że człowiek interesu może być pewien ciągłości swych stosunków z zamorskimi rynkami.

Zagadnienie regularnych połączeń jest troską i polskich czynników handlowych. Chodzi bowiem z jednej strony, o to, aby jaknajwięcej przewozić nie na obcych, lecz na polskich statkach, oraz o to, aby tworząc linie regularne silniej wiązać tereny zamorskie z Polską.

Dążenie do posiadania własnej licznej floty jest tym większe w Polsce, że dotychczas przewozimy na polskich okrętach tylko 10 proc. towarów w obrocie zamorskim, i że w rezultacie musimy rocznie ok. 150 milionów zł. wydawać na opłacanie obcych frachtów.

Praca nad rozbudową regularnych połączeń polskich portów Gdyni i Gdańska postępuje stale naprzód. Obecnie mamy już 16 linij regularnych w polskich rękach, nie licząc przeszło dwukrotnie większej liczby linij należących do obcych, które łącznie zapewniają stałą komunikację z przeszło 250 portami Europy, Ameryki i Azji. W 1937 r. na przykład została uruchomiona nowa linia z portów polskich do zachodniej i północnej Finlandii, oraz druga do zatoki Meksykańskiej.

I rzecz wysoce pocieszająca, że w r. ub. zaznaczył się o wiele silniejszy wzrost przewozów na polskich liniach regularnych niż na nieregularnych, oraz, że powiększyły się bardziej ładunki przywożone z odległych portów, niż ładunki tam wywożone. Dowodzi to, że połączenia te spełniają swe zadanie, t. j. powodują ożywienie obrotów, powodują wyzyskiwanie polskiej floty handlowej, a nie obcej.

Mówiąc o polskich liniach regularnych, trzeba jeszcze zaznaczyć, że nigdy linia regularna obca t. j. linia należąca do obcokrajowców, nie będzie całkowicie na usługi polskiej racji stanu. Zawsze interes kraju macierzystego stać będzie ze zrozumiałych względów na pierwszym miejscu. Dlatego posiadanie w Gdyni i Gdańsku własnych połączeń regularnych jest celem, do którego usilnie się dąży.

Rozwój żeglugi regularnej, jak i nieregularnej czyli trampowej ma poza tym znaczenie — można powiedzieć — pionierskie.

Rzucamy w tej chwili hasła kolonialne, a przecież wiadomo, że pierwszą akcją w zdobywaniu surowców, kolonij jest opanowywanie zamorskich rynków. A przecież każdy statek handlowy jest tym czynnikiem, tym wysłannikiem kraju swej bandery — do dalekich krajów.

Wszystkie potężne mocarstwa kolonialne budowały swą potęgę w koloniach — przede wszystkim w oparciu i za pośrednictwem floty handlowej.

Toteż jeśli rzucamy hasło: żądamy surowców, żądamy kolonij, to w pierwszym względzie, jak na rzecz najistotniejszą w tej mierze należy zwrócić uwagę na rozwój floty handlowej, jako na najbardziej powołanego i odpowiedniego pioniera naszych haseł kolonialnych.

K. J.

Jak u nas obchodzono Tydzień Morza

Główny Komitet Tygodnia Morza ogłosił dla wsi Konkurs na temat: Jak u nas obchodzono Tydzień Morza. Z kilkudziesięciu prac, jakie nadeszły I nagrodę otrzymał Józef Bańczyk z Bukowca.

Poniżej drukujemy fragmenty tej pracy.

REDAKCJA.

Robiło się ciemno. Stara sowa darła się gdzieś w dali, gdy ja wracałem z pastwiska. Krowa szła wolno za mną skubiąc suchą trawę po miedzy, a moje myśli uniosły się wysoko i błądziły pośród stada małych chmurek, z pomiędzy których wyglądał niebieski szafir nieba zapowiadając na jutro pogodę. Było cicho dokoła, tylko w mej głowie panował wielki gwar, że jutro rozpoczyna się „Tydzień Morza", a nasza wieś polska uśpiona snem kamiennym jak w każdy zwykły dzień, jak w każdy zwykły tydzień śpi smacznie. Może na dwieście ludzi dorosłych w naszej wsi wie sześcioro co to jest „Tydzień Morza", co daje morze i t. d. Młodzież więcej się tym zajmuje, więcej słucha i rada by czegoś się nauczyć, ale starzy zarozumiali, nieraz nie pozwolą na dostateczny rozwój tych młodych myśli i kochania tego co jest zarozumiali, nieraz nie pozwolą na dostateczny rozwspólne, a gdy się ktoś taki znajdzie musi milczeć, bo chcieć nie milczeć trzeba rodziców być wrogiem. Tak pośród tych rozmyślań i ubolewań, że moja wieś nie dokłada się nic do swego obowiązku doprowadziłem krowę do obory, przywiązałem do łańcucha i wyszedłem na drogę, którą biegł akurat Janek.

— Idziem jutro Jasiu — zawołałem. — Idziemy — odpowiedział wesoło.

To jedno słowo pokrzepiło mnie wielce i wesoło powróciłem do domu. Idąc spać myślałem, że jutro będę na obchodzie „Tygodnia Morza" w Opocznie, gdzie powinien być każdy dobry obywatel polski.

* * *

Wytoczyło się już słońce z purpurowych zorzy dalekiego widnokręgu i ochoczo podniosło się wyżej. Było weselsze, niż zwykłego dnia, bo przecież ono pierwsze dziś w „Święto Morza" podało dłoń tym szumiącym falom i znowu w dzisiejszy dzień przysięgło słońce z wodą, że dla dobra ludzkiego podwoją swoje wysiłki. Pogoda zapowiadała się śliczna. Skowronki śpiewały wesoło a ja musiałem napaść krowę i dopiero myśleć o „Święcie Morza". Jak codzień tak i dziś załatwić trzeba domowe prace a dopiero się idzie do kościoła parafialnego, który jest w Opocznie.

Dzień był pogodny więc duże gromady ludzi snuły się drogą, która prowadziła do Opoczna. Ja szedłem z gromadą chłopców, którzy wesoło gwarzyli o dziewuchach i innych zmartwieniach kawalerskich. Postanowiłem więc przy sposobności zapytać ich co to jest dziś za dzień.

— Wieta chłopcy jakie to dziś obchodzimy święto? — Mówię do nich starając się rozmowę skierować na inne tory.

— Adyć „Piotra Wita korzeń usycha u żyta" to ty tego nie wiesz jeszcze Józek.

Słuchajno ty Stasiu jemu nie o to chodzi jakie to jest święto kościelne, ale jakie święto narodowe. Ja usługuję tam w gminie to wiem, bo słyszę, że dziś mamy „Święto Morza", podobno w ten dzień odebrali nasi „miemcom" morze *).

— Nie o to mi chodzi kolesiu, że w ten dzień odebrali Polacy morze, ale i tak twoja myśl jest dobra. Chodzi mi widzisz o to, że dziś i cały ten tydzień, to chwila chluby dla narodu polskiego. Pomyśl ino co Polska miała po wojnie — nic — prawda. Za to popatrz dziś po paru można powiedzieć latach. Polska wzrosła na morzu tak silnie w porównaniu do tych lat, że z za granicy wielcy ludzie dziwują się mówiąc skąd się to wzięło, a wiemy że Niemcy powiedziały Polska nie ma do rządzenia ludzi i musi upaść, a tymczasem znaleźli się ludzie, znalazł

*) Autor mylił się, gdyż odzyskanie morza było w dniu 10 lutego 1920 r.

się grosz. To tylko nieszczęście, że wieś w tym nie bierze udziału. Wieś śpi, nie podziwia tego co bracia nasi małym groszem ufundowali.

— Bo to nam dadzą co zobacyć, trzeba zaraz płacić a piniendzy inne urzendniki ta tyle biorą niech płacą a jo choć nie bede widzioł i tak bede żył. —

— Ho, to ci Witek rozum mo, a jak on za krawca się nauczył to po 2 złote bierze od uszycia palta a uceleś się rok a na urzędnika to trzeba ucyć się 10 i więcej lat nie prawda Józek? —

— Prawdę mówicie obaj i ten i ten ma rację. Nie wszyscy tak, nie wszyscy, ale są tacy co za dużo biorą to prawda. Ale co z tego, że będziesz i tak żył choć nie będziesz widział i rozumiał. To jest źle, bo poco ta Polska, poco twój stryjek czy wujek poszedł walczyć za Polskę. Żeby ją mieć wolną, żeby móc się cieszyć choć przed śmiercią, że dzieci zostały pośród swoich ludzi i swojej religii, a czy ty wiesz ile nasi ludzie, nasi dziadowie i pradziadowie robili powstań i walczyli z wrogiem o ojczyznę, ile oni Boga uprosili, ile krwi przelali byle tylko mieć kochaną Ojczyznę, a wy żyjecie w wolnej ojczyźnie i tego już nie doceniacie.

Zginęła wesołość z ich twarzy jakoś, spoważnieli wszyscy, szli w milczeniu i tylko Witek coś pod nosem mruczał.

— Co ty tam mruczysz sobie Witek — zapytuję go z tyłu.

— A mówię sobie w duchu — powiada — że chociaż nic dobrego nie robimy, to jednak gdyby ktoś napadł na nasz kraj to na ochotników jak jeden idziem i zginiemy a nie oddamy naszego kraju bo jakoś po twoich słowach miłuje te rodzoną naszą ziemię.

— Będzie z ciebie Witek, porządny człowiek. Doszedłeś widać do przekonania, że najmilej żyć w swoim własnym domu. Zacząłem widzicie tę sprzeczkę od morza i na tym skończymy. Jak jakaś moc powiedziała ci, że tę ziemię trzeba kochać tak samo trzeba moi chłopcy kochać morze, nasze miasta i wszystko co posiadamy, ale by to kochać mocno, to trzeba widzieć, bo na ziemie patrzysz codzień i ją pokochałeś a morza nie widziałeś nigdy, nic o nim nie słyszałeś, więc zdaje ci się, że błahostka, a to nie. Moi chłopcy, kraj, który nie ma morza to tak jak twój pokój bez drzwi, bo są drzwi, ale nie w twoim posiadaniu, to znaczy nie od twojej strony się otwierają i twój sąsiad zawsze ci otworzy gdy ty będziesz chciał wyjść, a gdybyś zagrażał jemu to cię nie puści i stało się. Tak samo jest widzicie z morzem.

— Chłopcy już szosa, patrzta jak samochód jedzie — przerwał rozmowę jeden z kolegów.

— Masz racje 7 klm przeszliśmy jak nic, a teraz chłopcy trzeba wszystko słuchać i widzić co wokoło będzie się dziać.

Rzucił się wiatr, który zmiatał kłęby kurzu i unosił go na rynek, gdzie stoi pomnik Tadeusza Kościuszki. Koło pomnika stała już, gromada ludzi, którzy rozmawiali między sobą, że dziś będzie nabożeństwo koło pomnika, gdzie z drugiej strony stał już ustawiony ołtarz. We wszystkich oknach widniały portrety i godło państwa a nad domami powiewały flagi białoczerwone. Była może godzina pół do jedenastej gdy ozwała się orkiestra, która szła z placu Kilińskiego a za nią postępowały organizacje, które po ustawieniu się koło ołtarza czekały na księdza, który się zjawił za chwilę. Szedł pod baldachimem trzymając w ręce monstrancję a za nim postępowały chorągwie a na ostatku tłum ludzi. Cichość zalegała cały rynek gdy ksiądz mówił kazanie, głos jego leciał, odbijał się o mury i ginął w krętych uliczkach miasta. — Morze to tam — krzyczał i wskazywał ręką na północ, mówiąc ileż to trudów poświęcił dla morza nasz pierwszy marszałek Józef Piłsudski a jego słowa powinny nam stać w głowie, że silna flota morska obroni nam ten skrawek morza, bo jeśli stracimy morze to równocześnie stracimy wolność naszego kraju.

— Słyszyta chłopaki nieprawdę mówiłem — a oni z wlepionymi w postać księdza oczyma słuchali uważnie. Skończyło się nabożeństwo. Organizacje w kolejności odmaszerowały nad rzekę a tłum ludzi znowu odprowadził księdza do kościoła.

* * *

O godzinie 4-ej miało odbyć się wyświetlanie jakiegoś filmu, który przedstawiać miał życie okrętu na morzu. Nie mieliśmy pieniędzy na obiad tylko każdy miał po 25 gr na bilet do kina i Frankowi tylko we troje to byłoby nic, ale zapomniałem napiliśmy więc po jednej bułeczce po 10 gr i czekaliśmy do czwartej. Jednak minęła czwarta i sala w której wyświetlano film była pusta. Nie wiedzieliśmy co teraz zrobić. Na szczęście nasz kolega Franek znał się dobrze z tym mechanikiem, który wyświetla filmy i poszedł go się spytać. „Film, — powiada ten pan, — będzie o godz. 8 wieczór". — Byliśmy tymi słowami doszczętnie zasmuceni, a co gorsze nadchodziła chmura z deszczem i gdybyśmy byli tylko we troje to byłoby nic, ale zapomniełem napisać, że Franek miał matkę i dwie siostry, które również na film czekały. Matka Frankowa już też wiedziała kiedy ma się naprawdę odbyć ten film ale nie straciła ochoty. Uparła się jeszcze i powiada kiedy ja mówię, że może nie będziemy czekać:

— Jak dotąd czekałam to i już doczekam tylko szkoda tego, że tyle ludzi poszło do domu dlatego, że wyświetlanie filmu będzie opóźnione a przecież

kto temu winien. Żaden wypadek wielki się nie stał tylko że właściciel tego kina pojechał gdzieś ponoć w goście.

* * *

Kiedy nareszcie nadeszła upragniona chwila wtedy wszyscy razem udaliśmy się do sali, w której wyświetlane są filmy. Krzesła już były prawie wszystkie zajęte tylko jeszcze parę stało próżnych do których my poszliśmy. Na sali zapanowała cisza gdy pierwszy obraz się ukazał, a potem dalej kolejno ukazywały się i nikły. Ładnie było popatrzyć na salę w której siedzieli ludzie bogaci przy stołach i wśród szczęścia i wesela prowadzili sobie życie, ale sala, gdzie jechali biedni emigranci wyglądała opłakanie. Burzyło się we mnie sumieine i mówiło do mnie: dla chłopa takie życie. Kiedy jednak przyszła burza, kiedy bałwany wody zalewały pokład, to ludzie biedni wydobywali resztki sił by tylko marynarzom przyjść z pomocą.

Wielkich i dzielnych trzeba jednak ludzi na marynarzy, którzy mają wielki cel i obowiązek na falach morskich. Śmierć stale zagląda im w oczy, a oni idą śmiało naprzód. Kiedy olbrzymie bałwany zalały pokład to marynarze podobni do rekinów robili szalone wysiłki, by uratować życie. Jestem młody i z całego serca pragnąłbym walczyć z siłą przyrody czy to na okręcie, czy samolocie, ale nie mam pieniędzy aby się nauczyć. Byłbym wtedy szczęśliwy, gdybym robił wtedy ludziom wielkie przysługi o których by oni wcale nie wiedzieli. Po skończeniu filmu ludzie z wyrazem zadowolenia opuścili razem z nami sale. Może już wszyscy spali ci co z nami przyglądali się filmowi gdy my byliśmy dopiero na połowie drogi. Dochodziliśmy do naszej wsi w której piały zawzięcie koguty przypominając północ. Po rozstaniu się z Frankiem ruszyliśmy lepszego tępa ale i tak już robiło się widno gdy szedłem spać.

Nazajutrz bura od ojca: gdzie byłem. Wtedy tłumaczę się, jak to było w rzeczywistości.

— No i co z tego masz żeś przewarował tam do rana. Mądrzy pokazują a głupi patrzy. Polokowi jak co nowego się stworzy to myśli, ze mo nie wiem co a un ma ..... tak i z tym morzem. Wrzała w mym ciele krew i nie wytrzymałem.

— Ja nie widzę lepszej korzyści jak morze dla kraju.

— Boś głupi tyle wody co leży próżne, tyle że się tam jakiś bogacz przewiezie takie to morze korzystne. Żeby to była ziemia to co innego.

— A mnie się zdaje, że nie tak — mówię uparcie.— Wy tata nie wiecie ile ludzie mają korzyści z morza co nad nim mieszkają, bo miliony łapią ryb. Wy nie wiecie, że państwo co ma morze i swój port to też ma z tego miliony korzyści, bo cały zysk zostaje w państwie nie potrzeba innemu państwu za przewóz przez jego port płacić a ile ludzi w porcie ma zajęcia.

— Ja słyszałem — powiada mój tatuś — jak mówił jeden pan, że dopiero Polska będzie wtedy mocna gdy doczekamy młodego pokolenia, ale i będzie Polska, bo to już od małego dziecka w szkole to urabiają, a potem bedom na was jeździć. —

Poczerwieniałem podniosłem w górę ręce i złożywszy pięść krzyknąłem: Zobaczymy! Nic nam nie zrobi ani wróg żyjący w państwie ani poza granicami, bo mamy silną flotę morską i powietrzną i kochane polskie morze. W istocie Polska ma wielkie dochody z morza, bo przez taki mały skrawek morza potrafiła Polska w roku 1935 wywieźć towaru 10½ miliona ton a przecież mamy tyle kolei, które zaledwie przewiozły 3 miliony ton a w dodatku z tego przewozu morzem ile mają dochodu właściciele statku i okrętu, marynarze, robotnicy portowi, urzędy handlowe, kopalnie, fabryki, a rolnicy to nic. Przecież taki okręt zawsze się zaopatruje w żywność swego kraju.

Musimy się więc starać, by wojna, która przyjdzie nie zabrała nam szlaków morskich i nie zamknęła nam „okna na świat".

Jak to jednak zrobimy nasuwa nam się to pytanie by nie utracić tego morza. Otóż według mnie nietrudno będzie zrobić to. Jak potrafili nasi dziadowie zdobyć ten słynny nie do zdobycia wąwóz Somosiery tak i my potrafimy zbudować silną flotę, która będzie się równać flocie innych mocarstw i wtedy nie utracimy morza. Ale czy my zdołamy to zrobić. Zdołamy, tylko trzeba więcej zrozumienia wśród ludzi wiejskich. Jednym słowem trzeba więcej szkoły. Niby kraj i cały świat idzie naprzód z postępem a na wsi polskiej tego wcale nie widać. Trzeba więcej uczyć dzieci wsiowe. trzeba ideał w nich wszczepić a wygnać zabobon i ciemnotę spod strzech zagrubiałych, nie okłamywać ludzi wiejskich, ale mówić im zawsze szczerą prawdę, wtedy będzie dopiero lepsze zrozumienie potrzeby silnej floty morskiej w państwie i wspólnem a swojem groszem ufundujemy silną flotę, której nie zwycięży żaden wróg. Kiedy więc wieś otrzyma odpowiednie wykształcenie zaroi się każde święto narodowe krasiastym ubiorem wsiowym a w sercach tego ludu wyrośnie nowa myśl. Rozszerzyć polskie morze, bo dalej nam się należy zaciasny dla nas ten skrawek, bo my to siła co od wieków najstraszniejszych wrogów roznieśli na swoich szablach.

Józef Bańczyk.

wieś Bukowiec, poczta Opoczno, woj. kieleckie.

Z kraju i ze świata

Nawiązanie stosunków z Litwą. Niezmiernie doniosłym wydarzeniem w naszym życiu politycznym jest nawiązanie stosunków sąsiedzkich z Litwą. Bezpośrednią przyczyną stał się nowy incydent graniczny w nocy z dnia 10 na 11 marca r. b., w czasie którego straż graniczna litewska zastrzeliła żołnierza polskiego Stanisława Serafina. Ten nowy wypadek prowokacji litewskiej wywołał powszechne oburzenia społeczeństwa polskiego, które zaczęło się domagać jak najenergiczniej zlikwidowania nienormalnych stosunków między Polską a Litwą. W tym też duchu Rząd Polski wysłał stanowczą notę do rządu kowieńskiego w dniu 17 marca, ostrzegając, że w razie jej nieprzyjęcia będzie zmuszony uciec się do innych środków. Jednocześnie ku granicy litewskiej zostały skierowane znaczniejsze siły wojskowe. Ta stanowcza postawa Rządu Polskiego dała pomyślne rezultaty. Widząc, że wszystkie państwa przyznają słuszność Polsce, rząd litewski w dniu 19 marca przyjął warunki polskie, zgodził się między innymi na ustanowienie poselstw w Warszawie i Kownie, na skreślenie z konstytucji paragrafu, mówiącego o przynależności Wilna do Litwy, a także na zapewnienie ludności polskiej na Kowieńszczyźnie pomyślnych warunków rozwoju. Są to pierwsze kroki, zmierzające do unormowania stosunków sąsiedzkich, ale nie należy wątpić, że po przezwyciężeniu wieloletniego uporu rządu kowieńskiego stosunki te szybko ułożą się jak najlepiej ku obopólnemu pożytkowi Polski i Litwy, które łączy przecież wielowiekowa tradycja wspólnych dziejów i walk o wspólną wolność.

Austria krajem Rzeszy Niemieckiej. Wielkie poruszenie w całej Europie wywołało przyłączenie Austrii do Rzeszy Niemieckiej. Sprawa ta niepokoiła już od wielu lat państwa Europy Zachodniej, które stanowczo przeciwstawiały się wszelkim próbom, zmierzającym do połączenia Austrii z Niemcami, widząc w tym groźny dla pokoju wzrost potęgi Niemiec. Obecnie jednak Włochy, najenergiczniej broniące samodzielności Austrii, są przyjacielem Rzeszy. Skorzystał z tego Hitler dla przeprowadzenia swego planu, a przeprowadził go szybko i sprawnie: w ciągu paru dni upadł rząd kanclerza Schuschnigga, który nie chciał być powolny Hitlerowi, do władzy przyszedł rząd narodowych socjalistów, którzy też natychmiast obsadzili wszystkie najważniejsze stanowiska w państwie, usuwając zewsząd swych przeciwników. Wojska niemieckie, wkraczające do Austrii, nie napotkały najmniejszego oporu, a kanclerz Hitler, wjeżdżając do Wiednia, był witany entuzjastycznie przez olbrzymie tłumy publiczności. Tak więc przyłączenie Austrii do Niemiec stało się faktem dokonanym. Nie pomogą już dyplomatyczne sprzeciwy Anglii i Francji, a i plebiscyt, zarządzony przez Hitlera na dzień 10 kwietnia będzie już tylko formalnym wypowiedzeniem się ludności całej Rzeszy w sprawie ostatecznie już przesądzonej. Niepodległa Austria przestała istnieć — jest już tylko Wielka Rzesza Niemiecka, licząca 75 milionów mieszkańców.

Wizyta min. Becka w Rzymie. W dzisiejszym okresie gwałtownych przeobrażeń politycznych na terenie Europy doniosłe znaczenie ma wizyta min. Becka w Rzymie. Zarówno serdeczny nastrój wizyty, jak i wielokrotne bezpośrednie rozmowy naszego ministra spraw zagranicznych z ministrem spraw zagranicznych Italii oraz jej wodzem Mussolinim dały wyraz wzajemnego zrozumienia i równoległości interesów obydwóch krajów w wielu dziedzinach polityki międzynarodowej.

Stracenie 18 działaczy bolszewickich. Rosja Sowiecka była znowu świadkiem wielkiego, budzącego grozę procesu politycznego. Na ławie oskarżonych zasiedli tacy ludzie, jak Rykow, Bucharin, Jagoda, Krestinski, którzy przez wiele lat stali na czele rządu Z. S. S. R. Akt oskarżenia zarzuca im świadome działanie na szkodę Rosji Sowieckiej. Proces trwał niespełna 10 dni. Wszyscy podsądni, podobnie jak i oskarżeni, przewijający się w poprzednich procesach bolszewickich, przyznawali się całkowicie do zarzucanych im zbrodni, oskarżając w sposób bezwzględny zarówno siebie, jak i swych współtowarzyszy. Wyrok sądu skazał prawie wszystkich, bo 18 na karę śmierci przez rozstrzelanie, kilku pozostałych na dożywotnie więzienie. Czy jednak dzisiejsi oskarżyciele nie znajdą się znowu za pewien czas na ławie oskarżonych i czy znowu nie będą się oskarżać, że działali na zgubę Rosji i systemu bolszewickiego?

Zwycięskie postępy wojsk gen. Franco. W Hiszpanii szala zwycięstwa zdaje się przechylać na stronę gen. Franco, którego wojska rozpoczęły ostatnio zwycięską ofensywę, zajmując znaczne połacie kraju. Wielu też członków rządu Hiszpanii republikańskiej szuka już obecnie schronienia na terytorium Francji.

O. R. P. „Gryf". W dniu 6 marca przybył do Gdyni najnowszy okręt Rzeczypospolitej, stawiacz min „Gryf". Okręt ten, zbudowany na stoczni francuskiej w Hawrze, jest największą jednostką polskiej Marynarki Wojennej, gdyż ma wyporność 2.257 ton. Uzbrojenie jego poza przyrządami do stawiania min składa się z 6 dział większego kalibru i 4 mniejszych dział szybkostrzelnych oraz z różnego rodzaju broni pomocniczej. Załogę okrętu stanowi 12 oficerów oraz 240 podoficerów i marynarzy.

A kiedy u nas będzie to możliwe? Jak donoszą pisma, spółdzielnia farmerów zachodniej Australii, pragnąc obniżyć zbyt wysokie frachty, narzucone przez potężne towarzystwo żeglugowe, obsługujące dotychczas 90% eksportu rolnego Australii, zakupiła własną flotę handlową. W ten sposób będzie mogła skutecznie domagać się uwzględnienia w obecnej taryfie przewozowej interesów rolnictwa. Już obecnie dają się odczuwać pomyślne dla rolników skutki tej akcji.

Praca portu gdyńskiego w lutym 1938. Obroty towarowe portu gdyńskiego za miesiąc luty r. b. wyniosły ogółem 677.405 ton, a zatem w porównaniu z lutym r. ub. wzrosły o blisko 65 i pół tysiąca ton. W tymże miesiącu ruch statków w porcie gdyńskim wyniósł ogółem 890 jednostek o łącznej pojemności przeszło 858 tysięcy t. r. n., a ruch pasażerski 2.353 osób.

Wiek polskiej floty handlowej. Dzięki temu, że rozwój polskiej floty handlowej przypada głównie na lata ostatnie, większość statków, bo 52% stanowią statki młode, których wiek nie przekracza 10 lat. Z chwilą wykończenia budowy zamówionych ostatnio 14 jednostek, stosunek ten jeszcze się poprawi, bo wynosić będzie 64%. A trzeba podkreślić, że i starsze jednostki dzięki gruntownemu remontowi spełniają jeszcze dobrze swoje zadanie.

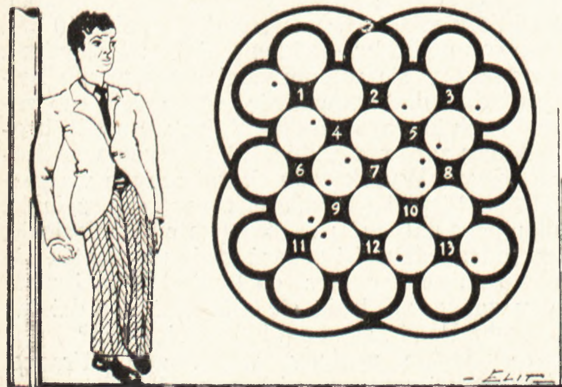
Rybołówstwo morskie. Pomyślnie również przedstawia się rozwój polskiej floty rybackiej, która liczy obecnie 190 kutrów i łodzi motorowych, 15 lugrów śledziowych oraz 3 trawlery parowe, kiedy w r. 1920 cała nasza flota rybacka liczyła zaledwie 61 kutrów motorowych, 13 żaglowych i 4 motorówki. Rozbudowa floty rybackiej sprzyja rozwojowi rybołówstwa morskiego, które też stało się podstawą poważnego już przemysłu rybnego przetwórczego na wybrzeżu. Dość powiedzieć, że na wybrzeżu jest czynnych 53 wędzarnie z 511 piecami oraz 26 firm, handlujących rybami, a rybaków morskich mamy 2.000.

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze Nr 3/38 „Polski na morzu" wyd. A. — wkradł się błąd drukarski.

W artykule p. t. Kiedy zaczniemy budować okręty w kraju? — na str. 13 wiersz 9 od dołu było: TOTEŻ MAŁA STOCZNIA GDAŃSKA, a powinno być: TOTEŻ MAŁA STOCZNIA GDYŃSKA.

Rozrywki umysłowe



Do podanej figury należy wpisać dokoła liczb (wirowo, w kierunku „zegarowym") **13-ście czteroliterowych wyrazów** o podanych poniżej znaczeniach.

Kropki w kółkach wskazują początek wyrazów.

Znaczenie wyrazów. 1) Lewy dopływ Wisły. 2) Dawanie porady. 3) Pewien czas. 4) Imię męskie. 5) Lekka mgła. 6) Grząskie błoto. 7) Karta geograficzna. 8) Układ postaci. 9) Kapłan tybetański. 10) Dwie sztuki. 11) Ptak płetwonogi. 12) Grunt uprawny. 13) Powłoka drzew.

„ELIT" (Warszawa).

Za rozwiązanie wirówki Redakcja „Polski na Morzu" przeznacza 5 wartościowych nagród książkowych. Termin nadsyłania rozwiązań na kartkach pocztowych **upływa 28 kwietnia 1938 r.** Rozwiązania należy nadsyłać do Redakcji „Polski na Morzu" z dopiskiem **„Rozrywki umysłowe"**.

ROZWIĄZANIA.

„Polska na Morzu" Nr 2 — Luty 1938 r.

2. REBUS.

— I (w/g alfabetu Morse'a) — LU („ul" wspak) — MINA — TOR (pierwiastek chemiczny) =

ILUMINATOR

i jest to nazwa okrągłego okienga w kajucie okrętowej.

Bezbłędnie rebus rozwiązało 130 osób (na 168 nadesłanych rozwiązań). W rezultacie nagrody otrzymują:

1. KADYSZÓWNA Irena — Płock ul. P.O.W. Nr 6.
2. NOWICKI Alojzy — Inowrocław, Dubienka 13.
3. STOPA Zbigniew — Tarnów, Grunwaldzka 6.
4. GRABSKI Witold — W-wa, Filtrowa 70 m. 36.
5. RUBINKÓWNA Halina — Tomaszów Maz., — Św. Antoniego 38

Nagrody niebawem wysyłamy przez pocztę i prosimy o potwierdzenie odbioru.

PRENUMERATA ROCZNA 2 ZŁOTE
Adres redakcji i administracji: Warszawa, Widok 10; telefony: red. 5-22-04, admin. 6-99-66.
WYDAWCA: Liga Morska i Kolonialna. REDAKTOR: Stanisław Zadrożny
Druk Zakł. Graf. Dom Prasy S. A. Warszawa, Marszałkowska 3.